

## Michał Gołębiowski: Obecność nieobecnego, słuchanie milczącego

Doskwierający brak Boga jest u szwedzkiego reżysera jakąś formą tyleż upragnionej, co przywoływanej obecności Tego, który jest. Mówiąc jeszcze inaczej, Bóg pozostaje kimś obecnym w ludzkich duszach, tym bardziej, im mocniej odczuwa się Jego nieistnienie. To paradoks niewiary, który silnie naznaczył ciemną mistykę Bergmana — pisze Michał Gołębiowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Bergman. Podróż poza kadr”.

Jeśli wierzyć mistykom, nieobecność Boga jest jednym z przejawów Jego obecności. Podobnie milczenie. To nic innego, jak posyłane człowiekowi słowo, takie jednak, które dociera do uszu inaczej niż zwykle. Oznajmia ono wówczas coś innego, jakies głębsze tajemnice, których *się nie godzi człowiekowi powtarzać* (2 Kor 12,4), słowa niewypowiedziane i niewysłowione, otchłanie, do których nie przenika światło tego świata.

Milczą mnisi i ikony. Milczy hostia i tabernakulum. Cisza zajmuje swoje miejsce także wewnątrz liturgii. A przecież to milczenie niesie za sobą wyjątkowe przesłanie. Mowa w nim o zwrocie do wewnątrz; o poświęceniu, oddaniu, obecności, i to takiej, która nie pozwala na zamęt czy nadmiar. Aby naczynie zostało napełnione, wpiery należy je opróżnić – to znana reguła. Aby stanąć w prawdzie, należy ogołocić się ze wszystkiego, co prawdą nie jest. Dlatego „lepiej jest milczeć i być, niż

mówić i nie być”, jak twierdził jeden z pierwszych pisarzy wczesnochrześcijańskich, św. Ignacy Antiocheński. W ogołoceniu jesteśmy bardziej sobą.

Cisza jest jak zgaszenie światła. Przystajemy widzieć i słyszeć, stajemy opuszczeni, dezorientowani i sami pośrodku ciemności. A jednak orędzie liturgii Wielkiej Soboty mówi, że „o tej to nocy”, w której umarł Bóg, powinno się mówić: „a noc jako dzień zajaśnieje, oraz: noc będzie mi światłem i radością”. Kiedy Słowo umarło, rozległa się cisza grobu. A przecież to miał być znak i cud Jonasza dany tym, którzy nie uwierzyli w żaden inny. Uczniowie zostali sami. *A myśmy się tak spodziewali* (Łk 24,21), to ostatnie ich słowa, pełne rozczarowania, kiedy wszyscy na powrót rozproszyli się *jak owce bez pasterza* (1 P 2,25), *pozbawieni nadziei i Boga na tym świecie* (Ef 2,12).

I oto „noc jako dzień jaśnieje”, choć nie przestaje być przecież nocą. Definitywny koniec nadziei okazuje się początkiem wieczności. W misterium tym mowa, oczywiście, o Jezusie Chrystusie, którego śmierć była warunkiem nowego życia. My jednak jakoś uczestniczymy w tej dynamice, czy to poprzez kościelne święto, czy też współdzielenie z Hiobem bolesnych głębi naszej egzystencji. Wielka Sobota to przecież nic innego, jak dzień umarłego Boga, pustki, która w rzeczywistości jest pełnią. To dzień uczestnictwa w śmierci, która musiała nastąpić, aby śmierć sama w sobie została pokonana. Oto paradoksy, które nie mieszczą się w prostym rozumieniu zależności tego świata.

Przeciwstawienie ciemności i światła jest zresztą czymś, co w chrześcijańskiej mistyce zyskało wiele nowych znaczeń. Noc duszy „jako dzień jaśnieje” dlatego, że Bóg, będąc światłością ze światłości,

staje się człowiekowi bliższy niż dotąd. Dusza ludzka nie jest wówczas w stanie przyjąć tak intensywnej obecności. W rezultacie człowiek odczuwa tę głębszą wspólnotę z Bogiem jako Jego milczący brak. Wewnętrzne oczy ślepną od tak mocnego blasku, podobnie jak wtedy, gdy zbyt długo wpatrują się w słońce w zenicie. Nieobecność jest więc, jak wspomniano, przejawem Bożej obecności.

Wschodni mistycy powiedzieliby, że problem niesłyszenia polega na transcendencji Boga. Jest On święty, a więc radykalnie odmienny od świata. Przewyższa wszelki byt, a więc nie tyle istnieje, co jest poza istnieniem. Nie daje się zamknąć w żadnym słowie czy wyobrażeniu, Jego obecność nie mieści się w granicach naszego odczuwania, a Jego mowa, choć na pewnym poziomie wyrażona językiem ludzkim, na wyższych szczeblach poznania misterium przekracza naszą zdolność słyszenia. *Przebywa On w światłości dla nas niedostępnej. Dlatego nikt z ludzi nigdy Go nie widział ani nie może zobaczyć* (1 Tm 6,16). Mistycy wschodniego chrześcijaństwa wyciągnęli z tej prawdy radykalne wnioski.

W kinie można, jak sądzę, wskazać trzech wielkich mistyków milczenia Boga w epoce postchrześcijańskiej. Byli nimi Carl Theodor Dreyer, Ingmar Bergman i Andrzej Tarkowski. Bergman jest w tym gronie o tyle szczególny, że w przeciwieństwie do Dreyera i Tarkowskiego, deklarował swój ateizm. Zarazem jednak, trzeba przyznać, jego przeżywanie braku Boga łatwo przywodzi na myśl „ciemną noc” duszy. Jest tam niepokój, silnie odczuwana nieobecność, którą przeżywali także chrześcijańscy mistycy.

Zawsze tak właśnie widziałem filmy Bergmana. Przedstawiały one wizerunek człowieka nowoczesnego, który żyje w świecie mocno się sekularyzującym (i to pomimo artystycznego kostiumu średniowiecznego w *Siódmej pieczęci* czy *Źródle*), a jednocześnie przeżywa „ciemną noc”, głęboko duchowe poczucie pustego i głuchego nieba, w wymiarze nie tylko indywidualnym, ale też pokoleniowym. Można powiedzieć, że doskwierający brak Boga jest u szwedzkiego reżysera jakąś formą tyleż upragnionej, co przywoływanej obecności Tego, który jest. Mówiąc jeszcze inaczej, Bóg pozostaje kimś obecnym w ludzkich duszach, tym bardziej, im mocniej odczuwa się Jego nieistnienie. To paradoks niewiary, który silnie naznaczył ciemną mistykę Bergmana.

Mowa już była o św. Janie od Krzyża, ale w kontekście filmów Bergmana należałoby przede wszystkim wspomnieć o Sørenie Kierkegaardzie. Mam konkretnie na myśli heroizm człowieka oddanego w zupełności ciemnej i głuchej otchłani Nieznanego. Cechująca filmy Bergmana specyficzna poetyka niewiary przypomina wszakże Abrahamowy skok wiary, taki, jakim opisuje go Kierkegaard w *Bojaźni i drżeniu*, tyle tylko, że jakby wstrzymany, ujęty w stopklatce, bądź wahający się, zawieszony nad ciemną przepaścią. Nie rozpoznajemy celu tego szaleńczego ruchu, nie znamy zakończenia. W tym momencie, pośrodku najczarniejszej nocy, wiara nie daje już żadnych dowodów. Można jedynie rzucić się w otchłań. A otchłań ta zionie pustką.

Bóg z dzieł Bergmana jest więc kimś ukrytym i milczącym. Zgodnie z tym obrazowany przez niego świat pozostaje przestrzenią nieczułą, obcą, opuszczoną, zagubioną. A jednak ateista Bergman, tak jak głęboko wierzący Carl Theodor Dreyer, mają w sobie coś z surowej

wiary. Obaj są też mistyczni, lubują się w Hiobowych tonach, rozpaczliwego rzucania modlitwy w pustkę, choć każdy na swój sposób. Bergman przedstawia człowieka jako istotę samotną, pozbawioną znaków z góry. Można powiedzieć, że jedynym cudem, na jaki może liczyć ze strony Boga, jest znak Jonasza. Oto przejmująca i dotkliwa cisza spowodowana pozorną bądź faktyczną nieobecnością Tego, który jest.

Jak mawiał prawosławny teolog, Sergiusz Bułgakow, „należy pilnie wsłuchać się w to milczenie”. Dzieła Bergmana zawsze wydawały mi się takim właśnie słuchaniem. U Dreyera człowiek również doświadcza ciemności wiary i niewiary, dwóch otchłani, które wzajemnie się przywołują (zob. Ps 42,8), lecz raz za razem odbiera znaki, słowa i przebłyski nieba. Obaj w pewien sposób się uzupełniają: jeden wskazuje na głębię zwątpienia człowieka nowoczesnego i postchrześcijańskiego, który być może przeżywa oczyszczenia do głębszej wspólnoty z Bogiem, choć o tym nie wie i nie może wiedzieć, a drugi – rysuje horyzont wiary, który roztacza się przed nami jako poranek następujący po tej nocy.

Filmy Bergmana, zwłaszcza *Siódma pieczęć* i *Godzina wilka*, zdradzają również wielkie zmagania artysty ze śmiercią. To kolejna przestrzeń milczenia. To również swoista Wielka Sobota, która rozciąga doświadczenie grobu i pogrzebanego Mesjasza na strukturę ludzkiej egzystencji w wymiarach doczesności rozciągniętej między przepaścią wiary i przepaścią zwątpienia. Jest tam obecne, bez wątpienia, to Kierkegaardowskie napięcie. Bóg jakby zstępuje u niego do otchłani nieistnienia. „Ten dzień zaciemni oczy jak okna domu” – pisał św. Efrem Syryjczyk. „Ten dzień zatrzyma kroki i zmaże ich ślady. Już ich człowiek nigdzie nie skieruje”.

Być może tutaj należy się zatrzymać. Bo choć sam nie jestem przekonany do tej drogi, to może właśnie niewiara Bergmana, nasycona łatwo wyczuwalnym metafizycznym niepokojem i pewnym rysem mistycznym, pomaga nam, współczesnym, oczyścić się z idoli, aby dotknąć ikony żywego Boga... Czy poranek przyjdzie? Wierzę, że tak. Ale póki co trwa noc.

*Michał Gołębiowski*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---